Pierwsza lalka Hansa

- Smakowało? - Zofia uśmiechnęła się do gościa. - Może jeszcze kawy albo trochę szarlotki? Niewiele osób odwiedza nas od czasu, kiedy mąż miał ten okropny wylew. To miłe z pana strony - wstała od stołu i podeszła do komody. - Przygląda się pan moim lalkom... Moim dzielnym staruszkom - poprawiła fałdę atłasowej sukienki lalki siedzącej koło zegara.

Przesunęła wózek Wiktora w kierunku kominka, zapaliła papierosa i podała go mężowi.

- I pewno zastanawia się pan, dlaczego trzymam też tę szkaradę - wskazała na lalkę, która stała z boku, oparta o ramę starego lustra.

Inna od pozostałych, z burzą postrzępionych włosów, pokracznie wykrzywionymi rękami i nogami, okręconymi ciasno sznurkiem czy może włóczką i nienaturalnym na wpół odsłoniętym biustem, z wyzywającym wyrazem porcelanowej twarzyczki spoglądała na nich martwymi oczami bez źrenic.

Zofia podała gościowi drugi kawałek ciasta.

- Te wszystkie lalki są ze mną od ponad trzydziestu lat. Mieszkaliśmy z rodzicami tu niedaleko, na Mariackiej. Naprzeciwko nas, drzwi w drzwi, wynajmowali mieszkanie państwo Barańscy, z córką, małą Hanią i mamą inżyniera, panią Heleną. Lubiłam zachodzić do babci Barańskiej, pić kakao, plotkować i bawić się jej starymi kukiełkami, a najbardziej królewną, najpiękniejszą lalką z tej małej kolekcji. Po 68. dużo ludzi wyjeżdżało, pamięta pan. Miałam wtedy 15-16 lat i niewiele z tego wszystkiego rozumiałam. Któregoś dnia zaszłam do sąsiadów i zobaczyłam, że na podłodze stoją spakowane kufry.

- Wyjeżdżamy i my - babcia Barańska zaprowadziła mnie do swojego pokoju i przyniosła kubek gorącego mleka z rozpuszczoną kostką czekolady. - Pora się żegnać, mała przyjaciółko - podeszła do półki z lalkami. - Jakoś nigdy mnie nie zapytałaś skąd mam te laleczki, a ja też wolałam nie budzić dawnych cieni. Ale teraz, teraz może warto komuś przekazać tę przeszłość? Mój ojciec, wspominałam ci kiedyś, przed wojną miał przy ulicy Wojewódzkiej, gdzie również mieszkaliśmy, małą pracownię - coś jakby klinikę lalek. Uwielbiałam schodzić na dół do warsztatu tate i bawić się tymi wszystkimi marionetkami, kukiełkami i pierrotami. Mogłam godzinami przyglądać się, jak reperuje zepsute lalki i figurki. Gdy nie było nic do naprawy, strzygł bogobojnych Żydów i golił mniej bogobojnych gojów. Którejś jesieni koło pracowni zaczął kręcić się młody chłopak, Niemiec; sądząc po czapce i mundurku - uczeń miejscowego męskiego gimnazjum. Zrazu nieśmiało przystawał przed małą witryną „atelier" ojca, potem zaczął zachodzić do środka. Milcząc przyglądał się, jak ojciec klei pękniętą porcelanę, zszywa podartą suknię, albo jak lekarz składa połamane ręce i nogi. Tate, o dziwo, nie przeganiał go; polubił chyba w końcu Hansa i nawet zaczął mu pokazywać, jak szybko przywrócić do życia małą Gołde, Mariannę lub Trudę. Z czasem Hans umiał sam naprawić proste uszkodzenie. Ja byłam wtedy

rozkwitającym podlotkiem, jakby się teraz powiedziało. Siadywałam z boku i wpatrywałam się w pięknego Hansa jak urzeczona. Był zawsze elegancko ubrany, czysty, schludny, miał wypielęgnowane ręce. Co go ciągnęło do małej pracowni starego Żyda? ...Wiesz, chyba zakochałam się w tym chłopaku. Nie rozmawialiśmy jednak nigdy - on mnie chyba wcale nie dostrzegał. Widział tylko te lalki. Miał takie niespokojne, jakby szalone oczy. Czasami przychodził wieczorem wzburzony. Mówił coś o kłótniach w domu, z ojcem, brał wtedy jakąś popsutą laleczkę i trzymał ją długo na kolanach. Jesień przebiegła, przeleciała, minęło chrześcijańskie Boże Narodzenie i nadszedł późnozimowy adar, a z nim miało przyjść nasze śliczne, wesołe święto Purim. Jedna z lalek, którą oddano do naprawy jeszcze chyba latem, nie mogła doczekać się powrotu swej pani. Siedziała w oknie i smutno wpatrywała się w ciemną uliczkę. Hans poszeptał któregoś dnia z tate i za jego zgodą zabrał lalę z pracowni. Zniknął na parę dni, nagle tuż przed świętem Purim zjawił się w klinice, zawołał mnie i... wręczył mały pakunek, dukając coś o prezencie świątecznym, który on dla mnie, specjalnie, zrobił i który ja muszę teraz zaraz koniecznie zobaczyć. Tak, to było tamta lalka, ale jaka odmieniona! Lalka-pokraka. Z rozczochraną blond czupryną, powiązanymi nogami. Niewidoma. I z... piersiami. Tate z krzykiem wyrzucił Hansa, a lalkę zabrał mi i, jak wtedy sądziłam, spalił albo rozbił. Od tamtej pory mój ukochany przestał zachodzić do pracowni. Już go właściwie nigdy nie widziałam. Raz jeden, gdy ktoś rzucił kamieniem w szybę pracowni ojca, zdało mi się, że to on, ale pewnie się myliłam. Bo niby dlaczego miałby to zrobić? A może w ogóle wyjechał z miasta?

Pani Barańska potrząsnęła głową:

- Widzę te jego dziwne oczy jeszcze dziś. Ciekawe, co się z nim stało... Pewnie poległ gdzieś pod Stalingradem. Moi rodzice zginęli z czasie Zagłady; mnie, tuż przed ewakuacją do getta, zabrali znajomi tate i przechowali na wsi przez resztę wojny. Nie wyglądam przecież jak Żydówka? - pani Barańska westchnęła z goryczą. - Po wojnie wróciłam do naszego miasta. W starej pracowni odnalazłam kilka lalek schowanych w szafie na strychu. I była między nimi lalka Hansa. A więc i ona przeżyła wojnę.

Zofia wzięła lalkę na ręce.

- Barańscy zostawili mi wszystkie lalki. Może nie mieli już miejsca w swoich walizkach, może nie znali tej historii albo nie chcieli wlec za sobą przeszłości? Tylko królewnę zabrała za morze ich mała Hania. Bardzo wtedy płakałam za tą piękną panienką.

Postawiła brzydulę z powrotem na komodę i odprowadziła gościa do drzwi.

- Tak, widzę że pan tez odgadł tajemnicę. Hans to oczywiście t e n Hans, a ta laleczka to chyba jego pierwsza wielka miłość. Na ręce, po wewnętrznej stronie, ma wypalone jego inicjały. Potem były inne dziwne lalki. Pokazywał je w Paryżu, Berlinie, Zurychu. Nie ma wątpliwości - to on. Towarzysz

surrealistów, wielki ekscentryk i skandalista, jako młody chłopak zachodził do małego warsztatu przy Mikołowskiej. Helena nie wiedziała, bo i skąd, jak potoczyło się życie jej Hansa. Bellmera.

Zofia uchyliła drzwi:

- Zastanawia się pan zapewne, jak ona, po tym wszystkim, co spotkało ją i jej rodzinę, mogła jeszcze patrzeć na tę lalkę. Ja też się zastanawiam. No, żegnam. Niechże pan zajrzy jeszcze kiedyś. Wiktor się ucieszy.

Ryszard Lenc, chyba w 2006 r.